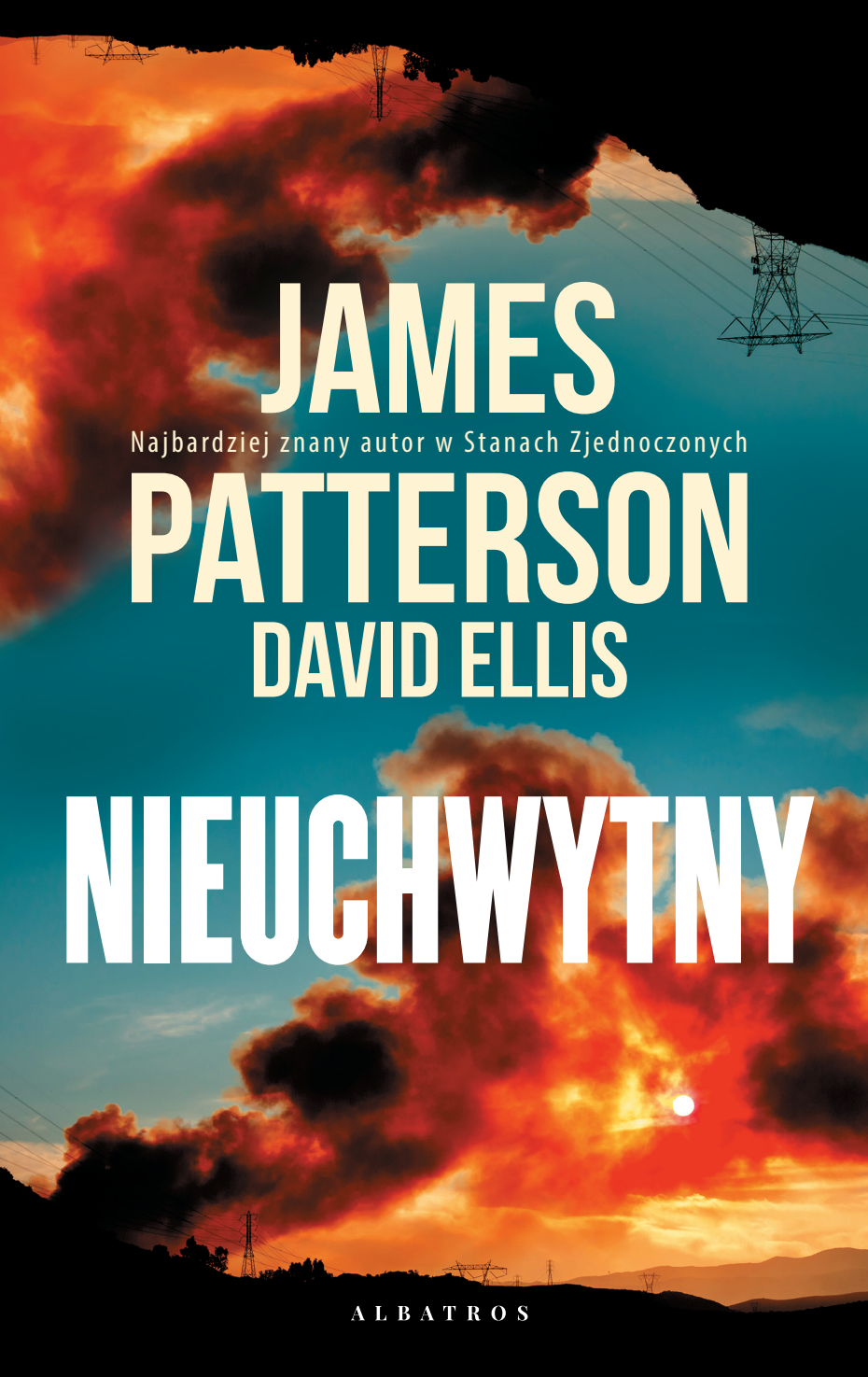




JAMES

Najbardziej znany autor w Stanach Zjednoczonych

PATTERSON

DAVID ELLIS

NIEUCHWYTNY

ALBATROS

Rozdział 1

Tym razem wiem. Jestem tego tak pewna, że przerażenie ściska mi gardło, chwytą za serce i kręci nim, jakby miało je wyrwać z korzeniami. Tym razem nie zdążę.

Tym razem jest za gorąco. Zbyt jasno, za dużo dymu.

Alarm wyje. To już nie wczesne dzwonki ostrzegawcze, ale przeszywający uszy pisk: „Zabieraj się stąd natychmiast, bo jak nie, to koniec”. Nie wiem, ile to trwa, ale teraz jest już dla mnie za późno. Palący żar naciera z czterech kątów sypialni. Ohydny czarny dym osmala mi włoski w nozdrzach, zatruwa płuca. Pomarańczowe języki falują po suficie nade mną, tańczą wokół łóżka w drwiącym staccato. Strzelają i trzaskają, jakby to był nie ogień, ale zgrany zespół płomieni. Chcą, żebym miała pełną świadomość, kiedy wzbijają się wyżej i opadają, wystawiają swoje jęzory i rechocząc, powoli się zbliżają. „Tym razem już za późno, Emmy...”

Okno. Nadal jest szansa wyskoczyć z łóżka w lewo i rzucić się do okna. Tylko tam jeszcze się nie pali. Wróg mnie osacza, prowokuje: „No, dalej, Emmy, biegnij do okna, Emmy...”.

To moja ostatnia szansa. Nawet nie chcę myśleć o tym, co mnie czeka, jeśli się nie uda, ale wiem, że muszę przygotować się na ból. Skręcająca wewnętrzności męka potrwa ledwie kilka

minut. Zacisnę zęby. Potem żar przepali końcówki nerwów i już nie będę nic czuła. A może nawet będę miała szczęście zemdleć od zatrucia tlenkiem węgla.

Nie ma nic do stracenia. Czas ucieka.

Płomienie od razu chwytają flanelową kołdrę, kiedy ją rzucam i podrywając się na nogi, kilkoma susami, raz-dwa-trzy-cztery, dopadam do okna. Z mojego gardła wymyka się dziewczęcy pisk strachu, jak wtedy, gdy bawiłam się z tatą w berka na podwórku za domem, a on już, już miał mnie złapać. Pochylam się i nacieram ramieniem na szybę, specjalnie hartowaną, żeby nie można jej stłuc. Do wycia syreny pożarowej i trzasków ognia dołącza alarm przeciwwłamaniowy, głodny ryk, a ja odbijam się od okna i upadam do tyłu, w rozszalały żar. Mówię sobie: „Oddychaj, Emmy, wciągaj trujący dym, nie daj się żywcem spalić płomieniom, ODDYCHAJ...”.

Oddychaj. Weź wdech.

– Cholera – bąkam w pustkę swojego ciemnego, wolnego od ognia pokoju.

Od spływającego z czoła potu pieką mnie oczy. Ocieram je koszulką. Odczekuję, wiem, że lepiej nie wstawać, póki puls nie wróci do ludzkiego tempa i nie wyrówna się oddech. Spoglądam na budzik elektroniczny. Kanciaste czerwone cyfry wskazują, że jest wpół do trzeciej.

Sny nie odpuszczają. Myślisz, że uporałeś się z czymś, przepracowujesz to cierpliwie i mówisz sobie, że dasz radę, zmuszasz się, by to pokonać, gratulujesz sobie poprawy. A wieczorem zamykasz oczy, odpływasz w inne światy i nagle twoje wewnętrzne ja trąca cię w łokieć i szepcze: „Wiesz co? Wcale nie jest ci lepiej!”.

Jeszcze raz wypuszczam powietrze z płuc i sięgam do nocnej lampki. Kiedy ją włączam, ogień jest wszędzie. Teraz to moja tapeta – na ścianach sypialni są różne zdjęcia, informacje i raporty z pożarów, które spowodowały czyjąś śmierć

na terenie Stanów Zjednoczonych. Hawthorne na Florydzie. Skokie w Illinois. Cedar Rapids w Iowa. Plano w Teksasie. Piedmont w Kalifornii.

I oczywiście, Peoria w Arizonie.

W sumie pięćdziesiąt trzy przypadki.

Idę wzdłuż ściany i przebiegam wzrokiem po dokumentacji każdej z tych spraw. Potem ruszam do komputera i zaczynam otwierać maile.

Wiem o pięćdziesięciu trzech zdarzeniach. Z pewnością jest ich więcej.

Ten ktoś nie ma zamiaru przestać.

Rozdział 2

Przyszłam do tego palanta Dicka. Formułuję to inaczej, ale to mam na myśli.

– Emmy Dockery do pana Dickinsona.

Kobieta usadzona za biurkiem przed gabinetem Dickinsona to osoba, której nie znam. Na plakietce ma napisane LYDIA. I wygląda jak Lydia – krótkie brązowe włosy, okulary w rogowej oprawie, klasyczna jedwabna bluzka. W wolnym czasie pewnie pisuje sonety. I pewnie ma ze trzy koty i lubi hinduskie żarcie, tyle że nazywa to „kuchnią indyjską”.

Nie powinnam być tak kąśliwa, ale drażni mnie, że jest tu ktoś nowy, że coś się zmieniło, od kiedy stąd odeszłam, i że czuję się jak obca w tym biurze, w którym sumiennie pracowałam prawie dziewięć lat.

– Czy była pani umówiona z dyrektorem, pani... Dockery?

LYDIA podnosi na mnie wzrok z uśmiechem satysfakcji. Wie, że nie byłam umówiona. Wie, bo dzwonili tu z recepcji w holu, by sprawdzić, czy mogę wejść. I właśnie mi przypomina, że wpuszczono mnie aż tutaj tylko przez grzeczność.

– Dyrektorem? – pytam z udawanym zdziwieniem. – Ma pani na myśli zastępcę dyrektora wydziału do walki z cyberprzestępczością i szybkiego reagowania?

No dobrze, może i jestem podła. Ale sama zaczęła.

Znoszę cierpliwie jej fochy, bo nie stałabym tu, gdyby Dick nie zgodził się ze mną zobaczyć.

Teraz każe mi czekać, co jest bardzo w jego stylu, ale dwadzieścia minut później znajduję się już w jego gabinecie. Ściany wykładane ciemnym drewnem, obwieszane trofeami – zdjęcia, dyplomy, świadectwa podbudowujące ego. Palant ma bardzo wygórowane mniemanie o sobie. Uważa się za Bóg wie co.

Julius Dickinson – wiecznie opalony właściciel zaczeski, kilku kilogramów nadwagi i wazeliniarskiego uśmiechu – wskazuje mi krzesło.

– Emmy – mówi tonem pełnym fałszywego współczucia i popatruje na mnie radośnie.

Od razu stara się mnie sprowokować.

– Nie odpowiedziałeś na żaden z moich maili – stwierdzam, siadając.

– To prawda – kwituje, nie zadając sobie trudu, by się jakoś usprawiedliwić.

Nie musi. Jest szefem. Ja tylko pracownikiem. Do licha, w tym momencie nawet i tym nie, bo wysłali mnie na bezpłatny urlop, moja kariera wisi na włosku, a ten człowiek siedzący naprzeciwko może mnie zniszczyć wedle własnego widzimisię.

– Czy przynajmniej je przeczytałeś? – pytam.

Dickinson wyciąga z szuflady jedwabną szmatkę i pucuje sobie okulary.

– Zorientowałem się w nich na tyle, by wiedzieć, o co ci chodzi – oznajmia. – O serię pożarów. Według ciebie są dziełem geniusza, który potrafił zaaranżować wszystko tak, że wydają się nie mieć ze sobą nic wspólnego.

W zasadzie tak.

– Za to bardzo dokładnie przeczytałem – dodaje z przekąsem – opublikowany ostatnio artykuł w „Peoria Times”, lo-

kalnej gazecie miasteczka w Arizonie. – Unosi wydruk i czyta: – „Osiem miesięcy po śmierci swojej siostry w pożarze domu Emmy Dockery nadal toczy bój, by przekonać wydział policji Peorii, że Marta Dockery nie zginęła przypadkowo, ale że było to morderstwo”. O, i dalej: „Doktor Martin Lazerby, przedstawiciel biura badań kryminalistycznych hrabstwa Maricopa, twierdzi stanowczo, że wszelkie dowody wskazują na śmierć w pożarze, który nie był wynikiem podpalenia”. A to mój ulubiony fragment, z wypowiedzi ich szefa policji: „Ta pani pracuje w FBI. Jeśli jest tak pewna, że to było morderstwo, dlaczego nie zajmie się tym jej macierzyste biuro śledcze?”.

Nie reaguję. Kiepski artykuł. Wzięli stronę policji. Nie przedstawili jak należy moich argumentów.

– Zaczynam się nad tobą poważnie zastanawiać, Emmy. – Składa dłonie, jakby zbierał myśli, zanim udzieli dziecku reprimendy. – Chodziłaś na terapię? Naprawdę potrzebujesz pomocy. Oczywiście bardzo chcielibyśmy, żebyś do nas wróciła, ale dopiero jak zobaczymy postępy w leczeniu.

Ledwie jest w stanie powstrzymać uśmiech, kiedy to mówi. Mamy ze sobą na pieńku. To on postawił mi zarzut nieodpowiedniego zachowania, co spowodowało zawieszenie mnie w obowiązkach. O, przepraszam, oficjalnie, w biurowym żargonie, nazywa się to „wysłaniem na bezpłatny urlop”. Nadal zostało mi siedem tygodni, zanim wrócę do pracy, ale nawet potem czeka mnie jeszcze sześćdziesięciodniowy okres próbny. Gdyby nie to, że ostatnio straciłam kogoś z najbliższej rodziny, pewnie by mnie wylali.

On wie dokładnie, dlaczego naprawdę zostałam oskarżona. Oboje wiemy. Więc drażni się ze mną. Nie wolno mi dać się wyprowadzić z równowagi. Tego by chciał. Chce, żebym wybuchła. Wtedy mógłby powiedzieć szefostwu, że nie jestem gotowa do powrotu.

– Ktoś krąży po kraju i zabija ludzi – mówię. – To właśnie powinno cię niepokoić, bez względu na to, czy chodzę na terapię, czy nie.

Mruży oczy i patrzy na mnie. Nie musi nic robić. To ja się czegoś domagam. I w ten sposób zamierza się nade mną znęcać: siedząc z zaciśniętymi ustami, oporny na wszelkie argumenty.

– Skoncentruj się na leczeniu, Emmy. Pilnowanie prawa zostaw nam.

Stale powtarza moje imię. Wolałabym już, żeby mnie opłuł czy zwymyślał. I on to wie. Stosuje pasywno-agresywną wersję tortury podtapiania. Nie byłam pewna, czy przyjmie mnie dzisiaj, gdy zjawię się tak bez zapowiedzi. Teraz uświadamiam sobie, że pewnie nie mógł się już doczekać, kiedy mnie tu zobaczy, zgasi, zaśmieje mi się prosto w twarz.

Jak powiedziałam, mamy ze sobą na pieńku. Krótko ujmując: to świnią.

– Nie chodzi o mnie – mówię z naciskiem. – Chodzi o tego gościa, który...

– Zezłościłaś się, co, Emmy? Jesteś pewna, że panujesz nad swoimi uczuciami? – Patrzy na mnie kpiąco, niby to z zatroskaną miną. – Bo widzę, że się czerwienisz. Zaciskasz pięści. Martwię się, że nadal dajesz się ponosić emocjom. Zatrudniamy psychologów, Emmy. Jeśli tylko potrzebowałabyś z kimś porozmawiać...

To brzmi jak wieczorne reklamy społeczne dla uzależnionych: „Nasi konsultanci czekają. Zadzwoń!”.

Dociera do mnie, że nie ma sensu tego ciągnąć. Głupio z mojej strony, że tutaj przyszłam. Jak mogłam liczyć na to, że on mnie wysłucha. Miałam z góry przechłapane, jeszcze zanim się tu pojawiłam. Wstaję i ruszam do drzwi.

– Udanej terapii! – woła za mną. – Będziemy trzymać za ciebie kciuki.

Przystaję i odwracam się do niego.

– Ten człowiek morduje ludzi w różnych stanach – mówię, z ręką na kłamce. – A sytuacja nie wygląda tak, że my go tropimy i nie potrafimy złapać. My nawet nie dopuszczamy myśli, że jest kogo ścigać. Tak jakby w ogóle dla nas nie istniał.

Dick nie odpowiada. Unosi tylko dłoń i leciutko macha mi na pożegnanie. Wychodzę, trzaskając drzwiami.

Rozdział 3

Trzymam nerwy na wodzy do chwili, aż znajdę się na zewnątrz. Nie dam Dickinsonowi tej satysfakcji, nie zobaczę, jaka jestem wściekła. Nie podsunę mu argumentu, który mógłby wykorzystać przeciwko mnie, skoro za siedem tygodni spróbuję wrócić do pracy. (Ale tak naprawdę niewykluczone, że on już i tak dostał, czego chciał. Może podeprzeć się moimi mailami, opisać wedle woli naszą ostatnią rozmowę, wskazując, że mam „paranoję” i popełniłam najcięższy grzech analityka researchera, przejmując rolę agenta i zapominając o swoim miejscu w szeregu).

Kiedy drogą I-95 jadę z powrotem, kilka razy z całych sił wałę w kierownicę. Wcale mi nie lepiej, a tylko ryzykuję, że połamię sobie palce.

– Dupek! – wrzeszczę. To trochę pomaga i od tego najwyżej zedrę sobie gardło. – Dupek! Dupek!

Dickinson trzyma mnie w garści po tej sprawie dyscyplinarnej. Czeka mnie okres próbny. Jeden fałszywy krok – albo coś, co Dickinson sam uzna za wykroczenie – i jestem skończona. Rany! Że też musiałam patrzeć na ten jego wredny uśmieszek, kiedy wmawiał mi, że potrzebuję terapii. Oboje wiemy, że mój jedyny problem dyscyplinarny polegał na tym, że za każdym razem, kiedy on kładł mi rękę na kolanie,

ja ją spychałam. Nie przyjmowałam też zaproszeń na późne kolacje, a nawet obśmiałam pomysł wspólnego wypadu na weekend „tylko we dwoje”. I myślę, że właśnie ten śmiech przelał czarę goryczy. Następnego ranka Dickinson napłócił szefostwu, że to ja mu się narzucam i jestem coraz bardziej natarczywa. A do tego: „nieobliczalna” i „nieprzewidywalna”. Łatwo tak powiedzieć, trudniej temu zaprzeczyć. I już, proszę, okazuje się, że człowiek stwarza problemy dyscyplinarne.

Cholerny dupek.

Ale uspokój się, weź się w garść, Emmy. Pomyśl, jak z tego wybrnąć. Muszę coś zrobić. Nie mogę się poddać. Wiem, że te sprawy są ze sobą powiązane. Tyle że utknęłam w ślepym zaułku. Nie wolno mi ominąć kolejnych stopni, a Dick mnie blokuje. Nie ze względów merytorycznych, ale po prostu mści się. I nie mam ruchu. Co mi pozostaje? Czy jest inny sposób...

Chwileczkę.

Odpuszczam pedał gazu bez wyraźnej przyczyny – chyba że chciałam wkurzyć na maksa kierowcę SUV-a jadącego trochę za blisko mojego zderzaka – i zastanawiam się. Nie, nie. To ostatnia rzecz, którą powinnam zrobić.

Z drugiej strony tak, to może być jedyna opcja. Dlatego muszę spróbować.

Bo jeśli mam rację co do tego gościa, on staje się coraz lepszy w zabijaniu. A nikt nie wie nawet, że on istnieje.

Rozdział 4

„Sesja Grahama”

Nagranie nr 1

21 sierpnia 2012

Witajcie w moim świecie. Możecie nazywać mnie Graham. Będę waszym przewodnikiem. Zapraszam.

Nie znacie mnie. Moja anonimowość jest konieczna dla mojego sukcesu. Kiedy tak siedzę tu i mówię do was, nie jestem nikim sławnym. Ale będę, gdy te nagrania zostaną ujawnione, bez względu na to, kiedy zdecyduję się je udostępnić. Wtedy znajdę się na pierwszych stronach wszystkich gazet i magazynów na świecie. Będą pisać o mnie książki. Analizować mój przypadek w bazie Quantico. Powstaną strony internetowe na mój temat. Filmy.

Moja tożsamość pozostanie dla was zagadką – może nazywam się Graham, a może nie – więc cała wasza wiedza o mnie będzie oparta na tych nagraniach, na moim ustnym dzienniku. Dowiedzie się tyle, ile pozwolę. Mogę wyjawić wam wszystko albo pewne rzeczy zataić. Mogę mówić prawdę albo kłamać.

Na początek coś o mnie. Byłem dostatecznie wysportowany, żeby grać w drużynę szkolnej, w liceum, ale niewystar-

czająco, by zająć wyżej. Miałem dobre wyniki, ale nie tak dobre, by zakwalifikować się do Ligi Bluszczowej. Pozostawały mi więc uczelnie państwowe. Nie znoszę cebuli w żadnej postaci, gotowanej czy surowej, to ohydne warzywo, bez względu na sposób podania. Znam trzy języki. Choć mój francuski ostatnio zrobił się żenująco marny. Ale potrafię powiedzieć „bez cebuli, poproszę” – albo jakiś odpowiednik tej frazy – w co najmniej jedenastu językach, do których doszły ostatnio grecki i albański. Wolę już ten wasz pop niż muzykę klasyczną lub starsze piosenki czy heavy metal, ale nie zdradzam się z tym przed przyjaciółmi. Kiedyś przebiegłem półmaraton w godzinę trzydzieści siedem minut. Już nie ćwiczę regularnie. I nigdy, przenigdy nie piję jasnego piwa.

Dwie z tych rzeczy, które właśnie wam powiedziałem, nie są prawdą.

Ale to jest: zabiłem mnóstwo ludzi. Nie uwierzylibyście, jak dużo.

A wy? Nawet nie wiem, kim jesteście. Czy osoba, do której kieruję te słowa, to istota wrażliwa, a może duch jednej z moich ofiar? Czy to mały demon, który przysiadł mi na ramieniu, podszeptując do ucha mroczne myśli? A może profiler z FBI? Obrotny reporter? Lub zwyczajny obywatel, który pewnego dnia trafił na te nagrania w internecie i pochyla się z lubieżną fascynacją nad komputerem, żądny szczegółów, spragniony każdej szczypty informacji i wglądu w... umysł... szaleńca!

Bo oczywiście to właśnie będziecie próbowali zrobić. Zrozumieć mnie, zdiagnozować. To by was uspokoiło i dało wam poczucie bezpieczeństwa – gdybyście mogli przypisać mnie do jakiejś miłej, porządnej kategorii. Gdybyście mogli uznać, że moje zachowanie wynika z niedostatku miłości ze strony matki lub z jakiegoś traumatycznego przeżycia, które przewróciło mi świat do góry nogami, albo z choroby psychicznej

dającej się zaklasyfikować według oficjalnie przyjętych kryteriów DSM-IV.

Ale nic z tego. Odkryjecie, że mógłbym zagadywać do was w najbliższym barze, przyszytych żywo płoty w sąsiedztwie albo siedzieć obok was w samolocie z Nowego Jorku do Los Angeles, a wy nie zwróciłibyście na mnie większej uwagi. No oczywiście później moglibyście twierdzić, że było we mnie coś dziwnego. Ale w czasie rzeczywistym, kiedy stoję przed wami, dzielę z wami podłokietnik fotela lub siedzę naprzeciwko, nie wywieram specjalnego wrażenia. Nie jestem kimś, o kim pamiętalibyście chwilę później. Jednym słowem, wydaję się całkiem normalny, zwyczajny. A wiecie dlaczego?

Nie, nie wiecie. Ale ja wiem. Dlatego że jestem tak dobry w tym, co robię. I dlatego też nikt mnie nigdy nie złapie.

(koniec)

Rozdział 5

Dwa lata po otwarciu księgarnia w centrum Alexandrii nadal wygląda jak nowa. Czerwona cegła ze stolarką pomalowaną na bładoniebiesko. Szyba z nadrukowaną nazwą: BOOK MAN. Na wystawie – nowości wydawnicze, powieści i literatura faktu, choć jak to bywa dzisiaj, przeważają książki dla dzieci i albumy.

Przed wejściem biorę głęboki wdech, zastanawiając się raz jeszcze, czy to mądra decyzja. Ale przez ostatnie dwie noce prawie nie spałam i naprawdę nie mam lepszego pomysłu.

Popycham drzwi i wchodzę przy wtórze dyń-dyń wesołego dzwoneczka. Od razu go widzę, jeszcze zanim on mnie spostrzeżga. Ma na sobie kraciatą koszulę z krótkimi rękawami, wypuszczoną na wierzch, do tego niebieskie dżinsy i mokasyny. Aż mnie trochę zatyka na ten widok. Zawsze ubierał się w garnitur i krawat. W powietrzu unosi się zapach nowych książek i kawy. Kojąca, spokojna atmosfera.

Stoi za kontuarem, podlicza zakupy jakiejś pani, kiedy jego wzrok pada na mnie. Dla pewności jeszcze raz spogląda, po czym przypomina sobie, że trzeba się uśmiechnąć do klientki, i wrzuca jej do plastikowej torby zakładkę. Kiedy kobieta kieruje się do wyjścia, on podchodzi do mnie. Ociera dłonie o dżinsy i przystaje tuż obok.

– Cześć, Books.

Uznaję, że równie dobrze to ja mogę zacząć.

– Emmy.

Już sam ton jego głosu, niski i władczy, ale jednocześnie łagodny, przywołuje falę wspomnień, które odgrodziłam od siebie mentalną tamą. Może brzmi w tym nawet jakaś nutka czułości, bo przecież kiedy się ostatni raz widzieliśmy, osiem miesięcy temu, chowałam swoją siostrę. Pojawił się z rana w dniu pogrzebu, by złożyć mi kondolencje. Nie mam pojęcia, skąd się dowiedział – może zadzwoniła do niego moja matka, nie pytałam – ale przyszedł. Nie narzucał się, stał w grupie innych, dając do zrozumienia, że jest, gdybym go tylko potrzebowała. Zawsze potrafił mnie zaskoczyć.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać – mówię.

– Nie zgodziłem się. Po prostu przyszedł.

– To dziękuję, że mnie nie wykopałeś.

– Jeszcze nie miałem szansy tego zrobić. Ale nadal mogę.

Uśmiecham się. Po raz pierwszy od wielu tygodni. Books wygląda świetnie. Jest w formie. Odprężony. Szczęśliwy. Świr. Czy nie powinien cierpieć po naszym zerwaniu?

– Wciąż jesteś kawowym snobem? – pytam.

Teraz on się uśmiecha. Odrobinę. Wbrew sobie. Tyle tu wspomnień. Nawet gdy był na państwowej pensji, zawsze chciał mieć najlepszy gatunek i zamawiał przez internet włoską kawę w ziarnach.

– Oczywiście – potwierdza. – A ty nadal jesteś zwariowaną męczyduszą z sercem na dłoni?

Śluzne określenie. Nikt nie zna mnie tak dobrze jak Books. A jednak takie pogaduszki między nami są nienaturalne, wymuszone. Właściwie mogę od razu przejść do rzeczy.

– Potrzebuję twojej pomocy – mówię.

Rozdział 6

– Nie. – Books zdecydowanie kręci głową. – Nie ma mowy, Em.

– Musisz mnie wysłuchać, Books, proszę.

– Nie, dziękuję.

– Jeszcze nigdy nie miałeś do czynienia z czymś takim.

– Powiedziałem już chyba wyraźnie albo tak mi się zdaje: nie, dzięku...

– Gdybym miała głosować, kto jest najgorszym popa-prańcem w historii świata, to mój wybór padłby na tego face-ta. Nie przesadzam, nie staram się zrobić na tobie wrażenia.

– Nie jestem zainteresowany. Nic a nic mnie to nie obcho-dzi – podkreśla, jakby chciał przekonać samego siebie.

Stoimy w magazynie obok sklepu, pośród książek piętrzą-cych się na stołach i ustawionych seriami na półkach. Zna-lazłam odrobinę miejsca na jednym z blatów i ułożyłam tam stertę pięćdziesięciu trzech teczek z dokumentami.

– Tu jest wszystko – mówię. – Chociaż to przeczytaj.

Odgarnia dłonią swoje jasne włosy. Są dłuższe niż daw-niej. Opadają mu na czoło i falują przy szyi. Teraz jest zwy-czajnym cywilem. Krąży po magazynie, starając się zebrać myśli.

– Ja nie pracuję już w FBI.

– Dla tej sprawy mógłbyś wrócić. Nie chcieli, żebyś odchodził.

– To i tak bardziej zadanie dla ATF...

– Moglibyśmy połączyć siły...

– To nie mój problem, Em! – Robi zamach i jednym ruchem zrzuca ze stołu piramidę książek. – Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jakie to dla mnie trudne? Zjawiasz się tu jakby nigdy nic i prosisz o pomoc. To nie fair. – Celuje we mnie palcem. – To bardzo nie w porządku.

Ma rację. To nie jest w porządku. Ale przecież nie o to tu chodzi.

Books przystaje na dwie minuty i podparty pod boki, kręci głową. A potem patrzy na mnie.

– Dickinson cię spławił?

– Tak. Ale nie ze względów merytorycznych. Nawet nie przejrzał tych materiałów. Znasz tego palanta.

Books zastanawia się chwilę.

– A mówiłaś mu, czemu ci tak na tym zależy? – pyta.

– To oczywiste. Facet zabija...

– Em, przecież dobrze rozumiesz, co mam na myśli. – Teraz podchodzi do mnie. – Czy Dickinson wie, że osiem miesięcy temu w Peorii twoja siostra zginęła w pożarze, którego przyczyny nie są do końca jasne?

– To nie ma nic do rzeczy.

– Dobrze sobie! – Kpiący śmiech, uniesienie dłoni. – To nie ma nic do rzeczy!

– Bo nie ma. Czy moja siostra jest jedną z ofiar, czy nie, to nie zmienia faktu, że seryjny...

Books nie chce tego słuchać. Macha rękami, żebym przestała.

– Emmy, strasznie mi przykro z powodu Marty. Wiesz, że szczerze to mówię. Ale...

– Jeśli ci przykro, to mi pomóż.